

Słońce natrętnie przedarło się przez zamknięte powieki i obudziłem się już w Sokółce. Jechałem ulicą białostocką przez dawną dzielnicę żydowską. A jednak ją poznałem. W moje starcze kości nagle wlała się życiowa energia i wstałem żwawo. Aż mi się chciało krzyczeć po polsku: Sokółko, Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił! Ty kraju lat dzieciennych, co zawsze zostanie, święty i czysty jak pierwsze kochanie.

Wysiadłem na przystanku koło cerkwi. Skoro ona dalej stoi, jak i podobno meczet w Bohonikach, to może i synagoga przetrwała?

Powoli, bo tchu mi brakło, poszedłem w górę, w stronę ulicy 1 maja. Stamtąd miałem widok na sympatyczną uliczkę, która w takie letnie wieczory była zawsze wypełniona gwarem. Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę dźwięk skrzypiec, lecz to na pewno musiał gwizdać wiatr. Tylko słońce nad żydowskimi kamieniczkami barwiło niebo na pomarańczowo jak dawniej.

Jacyś młodzieńcy wpatrywali się we mnie wrogim wzrokiem, ale nie przeszkadzało mi to. Nasi chłopcy też często szukali zaczepki z gojami i czasem niebezpiecznie było chodzić po zmroku po niektórych zaułkach. Ale mimo wszystko żyliśmy ze sobą przez te parę set lat. I kiedy dla Polaka palił się dom, biegliśmy, żeby pomóc gasić. Tak samo i było, gdy Żyd potrzebował pomocy.

Zresztą, między sobą też się czasem biliśmy. Zwłaszcza syjoniści lubili się wdawać w bójki z durakami z KZMZB (Komunistyczny Związek Młodzieży Zachodniej Białorusi). A z syjonistami tłukli się chasydzi.

Do głównej synagogi trafiłbym z zamkniętymi oczami, więc nawet i teraz, po siedemdziesięciu latach trafiłem od razu. Nie ujrzałem jednak świątyni, a szkołę.

Może to i lepiej? Lepiej, że teraz ten budynek wypełnia hałas, młodość, śmiech i życie, niżby miał być cichym i ponurym muzeum. A i przynajmniej nie służy za magazyn, jak za pierwszego sowieta.

Idąc w stronę ulicy Lelewela spotkałem osobę w podobnym do mojego wieku.

- Przepraszam pana. Czy ocalała chociaż jedna ze świątyń, czy może jakaś bożnica? Czy są w ogóle w Sokółce jeszcze jacyś Żydzi?

Najpierw spojrzał na mnie nawet nie jak na wariata, a jak na kosmitę, a potem puścił taką wiązaną przekleństw, że nie ma nawet co cytować. Broda jak u Abrahama, a tymczasem kawał chama.

Zaraz jednak puściłem w niepamięć ten incydent, gdyż ujrzałem na ulicy znajomą postać. Przetarłem oczy, lecz on nie tylko nie zniknął, ale podszedł do mnie z takim uśmiechem na twarzy, że człowiekowi od razu się ciepło robiło na duszy.

Był to Szuster, ostatni sokólski rabin. Niezwykle dobry, tolerancyjny i mądry człowiek. Zawsze zażegnywał konflikty między nami i gojami. Prowadził organizację charytatywną „Linus Hacedek”. Dla każdego bez wyjątku miał radę i dobre słowo. Był wielkim, bardzo aktywnym rabinem, który cieszył się poważaniem nie tylko wśród Żydów. Nie było spraw o znaczeniu publicznym, przy których nie pytano by go o zdanie. Do tego znał na pamięć całe rozdziały Miszny. Choć proponowano mu stanowiska rabina w

wielu różnych miejscach, jego serce nie pozwalało mu opuścić Sokółki, z którą zżył się całą duszą.

- Czego tu właściwie szukasz, Dawidku?

- Nie wiem rabbi, nie wiem. Tak jak ty, zżyłem się z tym miasteczkiem swoją chłopięcą duszą i opuszczając Sokółkę zostawiłem część tej duszy tutaj. Muszę ją odnaleźć. Nie chcę umrzeć niekompletny.

- Każdy z nas zostawił w tym mieście, w tych ulicach i kamienicach część w swej duszy. W naszych polskich przyjaciółach również. Nie ma w tym nic złego. Gdy twoja dusza będąc w Szeolu, będzie przez wieki oczekiwała Mesjasza i wiecznego zbawienia, częśćka twojej duszy wciąż będzie tu, w Sokółce. Ale to nie wszystko, prawda Dawidku? Szukasz swoich korzeni. Nie zapuściłeś nowych w Izraelu, ani nigdzie indziej. Chcesz odnaleźć je tam, gdzie wypuściłeś swoje pierwsze, młode pędy.

- Tak, rabbi.

- Tylko nie myl szukania korzeni z pogonią za duchami, Dawidku.

I odszedł. A ja nie śmiałem go gonić i zasypywać pytaniami. Gdy i ja odejdę, będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy.

Nie goniłem duchów. Goniłem siebie z czasów młodości. Goniłem go, aż dotarłem pod swój dawny dom. Mój jedyny prawdziwy dom. Stałem przed nim, choć cały czas kusiło mnie bardzo, żeby zapukać i zobaczyć twarze rodziców i braci. Zamiast tego ujrzałem w oknie jakiegoś chłopaka. Odszedłem, gdy usłyszałem jak woła swoją matkę, że jakiś Żyd stoi na zewnątrz i ogląda dom.

Jeśli myślał, że chcę się upomnieć o to co moje, to się grubo mylił. Bo cóż bym robił sam w pustym domu? Po cóż miałbym siedzieć z duchami i boleśnie zatracać się we wspomnieniach? Ten dom miał teraz nowych właścicieli i kwitło w nim nowe życie.

Poszedłem do parku, który niegdyś był placem brukowanym kocimi łbami. Żydowskie kramiki widziałem jedynie oczami wyobraźni. Jedna tylko rzecz pozostała. Ktoś z moich czasów. Był to niemalże mój rówieśnik, bo kiedy ja byłem małym chłopcem, Dąb Wolności był młodym drzewem. Teraz był to stuletni, potężny dąb. Kiedy on stał się coraz większy i silniejszy, ja zmarniałem i zniedołężniałem. Będzie on tu stał jeszcze długo, długo po mnie. I będzie pamiętał.

Nie chciałem gonić duchów, ale chcąc nie chcąc, musiałem pójść na cmentarz, na którym leżeli moi pradiadowie. Chciałem tam znaleźć miejsce dla siebie. Wszyscy moi krewni i przyjaciele opuścili ten padół łez i rozpaczy przez oświęcimskie kominy i wiatr rozwiał ich prochy po całym świecie, dlatego chociaż ja powinienem spocząć w świętej sokólskiej ziemi. Czuję, że jestem im to winny.

W drodze na kirkut tylko raz musiałem spytać o drogę. Niedługo później dotarłem na skrzyżowanie ulic Zamenhofs i bohaterskiego Icchoka Malmeda. Tam zobaczyłem kawałek oryginalnego muru, a za nim zarośniętą krzakami i młodymi drzewami dżunglę. Gdzieniegdzie tylko jak półdupek zza krzaka wystawała porośnięta mchem macewa. Przy pierwszym nagrobku z brzegu, ku mojemu zdziwieniu, stał znicz.

Znalazłem ścieżkę i ruszyłem przez te chaszcze. Choć nie minęło nawet stulecie, wydaje mi się, że sokółscy Żydzi byli bardziej zapomniani niż Jaćwięgowie, którzy dawniej zamieszkiwali te ziemie.

Wiele nagrobków ze starości zapadło się w ziemię. Wrosliśmy w tę ziemię jak ten wiekowy dąb...

Oprócz mnóstwa śmieci, znalazłem dwa miejsca na ognisko, wokół których były ułożone nagrobki, które musiały służyć do siedzenia przy ognisku. Aj waj! Krew mnie zalała i broda najeżyła się jak naelektryzowana, gdy okazało się, że jedna z bardziej możliwych do rozczytania macew, należy do mojego pradziadka. Trzasnąłem o drzewo leżącą obok butelką po tanim winie. Chciałem podnieść, albo chociaż przeturlać nagrobek na swoje miejsce, lecz po chwili byłem już wyczerpany i brak mi było oddechu.

Gdybym był tym młodym chłopakiem co kiedyś, zrobiłbym to w minutę, a później dowiedziałbym się, kto jest odpowiedzialny za taki stan rzeczy, a następnie poszedłbym z flaszką pejsachówki na grób jego przodków i zrobiłbym to samo. Ale na szczęście zmądrzałem. Wiem, że zemsta nie prowadzi do niczego innego niż powiększanie konfliktu i karmienie nienawiści. Mam nadzieję, że ci młodzi ludzie wraz z wiekiem tak samo zrozumieją to i owo. Nawet nie to, że jest to miejsce święte i tak robić nie można, ale to, że za każdym nagrobkiem stoi człowiek i jego jedyna w swoim rodzaju historia.

Na końcu kirkutu znalazłem polanę, na której mogłem usiąść i odpocząć. Zaskoczyło mnie to, jak szybko się uspokoiłem. Rzeczywiście, panował tu spokój cmentarny, lecz nie przerażający, a dający ukojenie.

Sięgnąłem za pazuchę by wyciągnąć modlitewnik, ale okazało się, że pomyliłem książeczki i wziąłem ze sobą opowiadania Izaaka Babla. Z pewnością każdy czytając jego opowiadania instynktownie tęsknił za Odessą, nawet jeżeli nigdy w Odessie nie był. Ja zaś czytając jego opowiadania, zawsze myślałem o tej cholernej Sokółce, o sadzie i o jabłoni pod którą zwykłem pijać wino. Nie zamieniłby mojego miasteczka i tego sadku za żadną Odessę, a i nawet za cały Izrael. Głupi byli ci wszyscy syjoniści, co krzyczeli, że miejsce Żyda jest w Palestynie, kiedy swoją prawdziwą ojczyznę mieliśmy tu.

Mam nadzieję, że nie przyprawilem nikogo o zawał. Człowiek idący koło cmentarza mógłby pomyśleć, że zobaczył ducha, lecz to nie był duch, a jedynie stary sokólski Żyd błakający się wśród porośniętych mchem kamieni i jak niewidomy odczytujący palcami niewidoczne już napisy. Ale dosyć już tego. Na obcowanie z nimi będę jeszcze miał całą wieczność, więc dosyć tego chodzenia jak dziecko we mgle.

Niedługo później już byłem poza miastem. Oczy mi lekko zwilgotniały i starcze serce zaczęło bić jak za młodu, gdy usłyszałem dźwięk podkutych kopyt i zobaczyłem chłopą jadącego furmanką. Aż mnie kusiło, żeby zawołać „Panie! Podwiezie pan do Grodna na zabawę?”. Oj, jeździło się kiedyś, jeździło. Teraz bym potrzebował wizy, bo jakieś duraki granicę tam postawili.

Idąc dalej, zrozumiałem coś. Zrozumiałem, że tej mojej ukochanej Sokółki już nie ma. Że wszystkich moich ziomków także nie ma. Tylko lasy pozostały te same. I polne dróżki. I łąki i pola. Jeszcze słońce zachodziło jak dawniej, a i powietrze pachniało młodością. Wielce szczęśliwy byłem widząc, że chociaż tyle pozostało z mojego kraju lat dziecińczych.

Ściemnia się. Robi się coraz ciemniej. Trzeba wracać. Nie wiem, czy znalazłem tu to czego szukałem. Za to wiem na pewno, że niczego nie zgubiłem. Muszę już wracać. Matka dziś przygotowała czulent. Muszę się pospieszyć, żeby bracia wszystkiego nie zjedli. Ściemnia się. Jest już coraz ciemniej...

dnia 4 lutego 1994r.).

EdwardH, dodano 08.04.2015 16:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.